

◆ *A.R. Reystone* ◆



# WIETRZNE KATEDRY

*Tom 3*

NASZA KSIĘGARNIA



# [Recenzja] "Wietrzne Katedry. Tom 3" Alice Rosalie Reystone

*nimfa bagienna*

## Przypadkowy koniec

Pierwsze dwa tomy „Wietrznych Katedr” Alice Rosalie Reystone przeczytałam z wielką przyjemnością. Lubię powieści wielowątkowe, w których z biegiem fabuły losy i plany poszczególnych postaci zazębiają się, by wspólnie dążyć do finału. Obserwowanie, jak z pozoru niemające ze sobą nic wspólnego osoby i wydarzenia okazują się elementami tej samej układanki, jest fascynujące. Dlatego, kiedy ukazał się trzeci tom powieści, nie zastanawiałam się ani chwili.

Nie zawiódł mnie. Śledziłam poczynania Iana, Trellera i reszty kompanii, z uznaniem obserwując, jak bardzo indywidualny rys autorka nadała elementom znanym do bólu. Na przykład elfom. Istoty pojawiają się w dziesiątkach książek fantasy, ale zazwyczaj wszystkie prezentują się tak, jak zarządził Tolkien: są piękne, nieśmiertelne, władają tajemniczymi mocami, świetnie strzelają z łuku. Tymczasem elfy Reystone owszem, potrafią rzucać zaklęcia (choć nie wszystkie...), a także są długowieczne, ale pisarce udało się uniknąć wpasowania ich w nudnawy elfi schemat. Bo czy jest do pomyślenia w tradycyjnej fantasy elf fajtłapa, elf ćpun albo elfka, która jest nadopiekuńczą, mamuśkowatą siostrą? Reystone owszem, stworzyła takie postacie, i są wiarygodne, nie mają w sobie nic z przerysowania czy nieintencjonalnego komizmu.

Świat stworzony przez pisarkę bardzo przypadł mi do gustu. Bazyliuszki, wiwerny, feniksy... niby mają wszystkie klasyczne cechy, a jednak w sposób znaczny różnią się od swych tradycyjnych pierwowzorów, a sposób ich przedstawienia ogromnie mi się podoba. Nie pełnią przy tym funkcji dekoracyjnej ani „fantastycznego” uzupełnienia uniwersum – są istotnym elementem akcji i fabuły, mają w nim rolę do spełnienia. Ziemia wykreowana przez Reystone jest całkowicie odmienna od tej, którą znamy – a jednak swojska. Rzucanie zaklęć, magiczne eliksiry i baśniowe rasy w zestawieniu z twardą, agresywną polityką prowadzoną przez ludzi nie wydaje się nie na miejscu. Bo to nasz świat... tylko trochę inny.

Gdy wyprawa do tytułowych Wietrznych Katedr wreszcie doszła do skutku, stwierdziłam, że do końca książki pozostało już niewiele stron, więc prawdopodobnie na tym tomie powieść się nie zakończy. I ucieszyło mnie to, bo bohaterów pozytywnych polubiłam, a do negatywnych w jakiś dziwny sposób się przywiązałam. I wtedy dostałam pięścią w twarz. Nie takiego finału się spodziewałam.

Nie chodzi o to, że jestem fanką happy endów. Wręcz przeciwnie, cenię zakończenia słodko-gorzkie, nawet gorzkie. Ale tylko wtedy, gdy niekorzystny obrót koła Fortuny jest spowodowany celowym działaniem bohaterów. Albo wynika z zaniedbania, błędnej oceny sytuacji, zastosowania niewłaściwych środków... wreszcie, gdy fiasko jest spowodowane zaplanowanym, dobrze przemyślanym atakiem „tych złych”. W przypadku „Wietrznych Katedr” czynnikiem rozstrzygającym, decydującym o takim, a nie innym zakończeniu, okazał się przypadek. Po prostu przypadek. Ślepy traf, na który nikt nie miał wpływu. I to wyjątkowo mi się nie spodobało, bo chciałabym wierzyć, że logiczne myślenie i uparte działanie, którym przez (prawie) całe trzy tomy wykazywali się bohaterowie, zasługuje na uznanie i nagrodę. I nie będzie to nagroda pocieszenia.

Nie chcę być źle zrozumiana: wszystkie trzy tomy czytało mi się świetnie. Dostarczyły mi sporo rozrywki, niemało zadumy, a także zwykłego ludzkiego uznania dla inwencji autorki. Jednak cios

pięścią w twarz zabolął. Przypadek jest ślepy, i choć wiem, że w życiu często to właśnie on decyduje, w książce, zwłaszcza tak ciekawej, chciałabym od niego odpocząć. Niestety, nie udało się.

Bo zarządził traf. Nie tak miało być.

*Hanna Fronczak*